

Drogi, szlaki, przełęcze...

La - znaczy Przełęcz. Ladakh – kraina wielu przełęczy.

Rohtang La, Taglang La, Prikti La, Dundunchen La, Konmaru La...

Nie sposób ich ominąć, wiodą tamtędy jedyne, te same od wieków szlaki.

Przełęcze są wysokie, wiele z nich liczy ponad 5 tysięcy metrów. Niektóre można przejechać, inne przekroczyć wspinając się mozolnie kamienistą ścieżką wyżłobioną w urwistym zboczu. Wyżej są już tylko szczyty Himalajów i Karakorum. Drogi, przejezdne jedynie przez trzy - cztery letnie miesiące, są tak wąskie, że nie ma już miejsca na strach. Ciężarówka, uprzedzając karkołomne zakręty rykiem klaksonów, mijają się o włos, czasem połową koła wisząc nad przepaścią. W górę czy w dół, kręcimy się jak na karuzeli. Wciąż osuwające się drogi wymagają mocnych nerwów i nieustannych napraw. Podróż z Manali do Leh - 485 km - zajmuje dwa dni. Trasa otwarta dla turystów dopiero w 1989 roku jest drugą pod względem wysokości na świecie. Ta najwyższa wiedzie przez przełęcz Khardung La - 5606 m n.p.m. października do czerwca, gdyby nie połączenie lotnicze ze stolicą, Ladakh byłby odcięty od świata. Kiedy przełęcze zasypie śnieg, drogami stają się skute lodem rzeki.

Ścieżka mieści ośła czy małego konika, objuczonego wielkim nieraz bagażem. Ludzie ciężarów nie noszą. Nie ma tu tragarzy, są natomiast poganiacze zwierząt. Zwierzęta czasem nie wytrzymują wysiłku. Również człowiekowi niedostatek tlenu daje się we znaki, odbiera siły. W głowie huczy, w oczach ciemno, plecak waży tonę. Z trudem oddychając rozrzedzonym powietrzem, posuwamy się bardzo wolno - dziesięć kroków, pięć kroków, krok po kroku...

Na szczycie, przy kamiennych czortenach powiewają barwne modlitewne flagi, wystrzępione, spłowiałe od słońca, deszczu i wiatru. Święte miejsca, kopce, długie murki „mani” z wyrzeźbionymi mantrami chronią przed złymi duchami. Wierząc w przychyłność opiekuńczych bóstw, do stosu kamieni dokładamy własny.

Wokół doliny - głębokie wąwozy, groźne rzeki, lodowcowe potoki. Przeskakujemy z kamienia na kamień, maszerujemy wyschniętym korytem, brodzimy w lodowatej wodzie. W ponurym pejzażu tkwią jak twierdze uczone skały klasztoru.

Jesteśmy w Małym Tybecie, który jest częścią Indii, a zarazem ostoją tybetańskiego ducha i buddyjskiej kultury. W Indiach buddyzm stracił na popularności, w chińskim Tybecie został niemal zniszczony. W Ladakhu żyje nie tylko w starych, pełnych tajemnic gompach. Religijne ceremonie, uroczystości i pielgrzymki są zwyczajną codziennością. Czas płynie, ale mierzy się inaczej. Wysoko w górach życie nie stało się łatwiejsze ani zimy mniej surowe. Niebo jest aż gęste od gwiazd i może przyśnić się astronomom. Nocą towarzyszy nam mocny szum wody, o świcie słońce oblewa blaskiem wierzchołki gór i ściany namiotu. Nie opuszcza nas wrażenie, że zabłądziliśmy w inną epokę. Tradycja żyje w rzemiośle, strojach, ozdobach i nakryciach głowy, w gościnności, uśmiechu i pogodzie ducha Tybetańczyków.

Sercem ladakhijskiego domu jest kuchnia. Przez otwór w suficie wpada promień światła, oświetlając ozdobione kutą blachą palenisko. W mroku połyskują miedziane i metalowe naczynia. Wciąż jada się tutaj tsampę (prażoną mąkę), popijając herbatą z solonym masłem. Nieliczne wioski to rzadkie oazy zieleni, nawadniane siecią małych kanałów półka, morelowe sady, wierzby, kolczaste zarośla. Płaskie dachy, kamienne murki, przydomowe ogródki, a w nich słoneczniki, nagietki, astry i malwy. Na stromych pastwiskach można spotkać kudłate, długowłose jaki, a bliżej ludzkich osad stadka owiec, kóz i osłów, z trudem wynajdujących kępki suchej trawy. Do zimowego snu szykują się tłuste świstaki. Kamienna pustynia ma niewielu mieszkańców. Żadne drzewo nie rzuca tu cienia.

Dalej znów góry - płowe, pustynne, bez śladu życia. Na ich tle drapieżne sylwetki ptaków i bawiące się z wiatrem kruki. Błękit nieba jest tu głębszy i ciemniejszy niż sznury turkusów zdobiące szyje kobiet.

Im głębiej zapuszczamy się w tę krainę, tym bardziej staje się ona zaskakująca i różnorodna. Piękna i straszna. Gigantyczne głazy, niezwykle formy skalne, przedziwne polodowcowe twory. Jedna strona doliny niepodobna do drugiej. Krajobraz zmienia się codziennie, nawet kilkakrotnie w trakcie kilkugodzinnej wędrówki.

Przełęcz jest najczęściej bramą do świata nowych barw i kształtów. Kolejna dolina w promieniach słońca mieni się nierealnie kolorami tęczy. Niesamowite skały o barwie indyjskiego różu, seledynowe i szmaragdowe kamienie, fiolety, ciepłe odcienie ugry, dalej ostre, postrzępione grzbiety i lśniące, ośnieżone szczyty sześciotysięczników. Kolejne warstwy, pasma, plany... Wysokość, odległość, ogrom przestrzeni.

Zejsście z przełęczy ma coś z lądowania. Zdobyć szczytu, pokonanie wysokości, dotknięcie tajemnicy. Ścieżki rzeczywiste i ścieżki duchowe, szlaki przetarte i zdradliwie uciekające spod nóg.

W tej wędrówce każdy znalazł to, czego szukał. Powrót w doliny jest powrotem z innego świata.

„Podróże” nr 5, maj 1999